



PROJEKT
FOTOGRAFICZNY

Marta Bogdańska

EXHIBITION

exilium. wskażcie nam drogę gorzkiego wygnania.

eurypides, bachantki

Temat uchodźców nie schodzi z pierwszych stron gazet od kilku miesięcy. Media pełne są drastycznych zdjęć ofiar utonięć na Morzu Śródziemnym, rodzin z małymi dziećmi po trudach wielotygodniowej tułaczki czy też przepelnionych dworców, przejść granicznych czy ulic. W tej masie trudno często dostrzec pojedynczego człowieka, by pochylić się nad jego jednostkową historią.

Marta Bogdańska podjęła się próby spojrzenia na uchodźców właśnie przez pryzmat losu pojedynczej osoby. Odwiedziła Syryjczyków przebywających w Libanie by sfotografować to, co udało im się zabrać ze sobą w chwili ucieczki. Oprócz oczywistych pamiątek jak zdjęcia, nowego znaczenia nabierają przedmioty codziennego użytku takie jak radio czy obrus. Choć przedmioty każdy zabrał ze sobą inne, wszystkich łączy doświadczenie opuszczenia rodzinnego domu i miasta, rozłąka z pozostałymi członkami rodziny i tęsknota za końcem wojny i powrotem do Syrii. Powstały z tego zbiór trzydziestu zdjęć i historii nie pozostawia odbiorcy obojętnego na losy właśnie pojedynczych osób. Projekt został zrealizowany przy wsparciu biura Fundacji im. Heinricha Bölla w Bejrucie.

Konflikt w Syrii jest tylko jednym z miejsc na mapie świata, skąd masowo uchodźcą ludzie. Inne regiony Bliskiego Wschodu czy Afryki także są źródłem exodusu, jakiego nie doświadczyliśmy już od dawna. Europa nie bez przyczyny jest często celem tych wędrówek, symbolem pokoju, dobrobytu i opieki, jakiej uchodźcy szukają. Europa musi i będzie musiała poradzić sobie z tym humanitarnym kryzysem z jednej strony i z narastającym nacjonalizmem i ksenofobią w obrębie własnych społeczeństw z drugiej. To wyzwanie dla polityków i obywateli, by w publicznej debacie znaleźć długofalowe rozwiązania i podzielić się odpowiedzialnością za poszanowanie praw człowieka, otwartości i różnorodności.

Zachęcając do obejrzenia wystawy, proponujemy chwilę refleksji nad losem uchodźców, nad przyczynami tego zjawiska i nad naszą odpowiedzialnością na to wyzwanie. Wydaje się, że temat niestety na dłużej zostanie na politycznej i społecznej agendzie.

Irene Hahn-Fuhr

Dyrektorka Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie

Wyobraź sobie, że stoisz pośrodku pól, na zboczu góry, na brzegu morza, zastanawiając się nad swoim kolejnym krokiem. Opuściłaś/eś swój dom wczoraj... dwa tygodnie temu... sześć miesięcy temu... dwa lata temu. Jesteś w drodze. Jesteś małym punktem na mapie. Dokąd się udasz? Co zabierzesz ze sobą?

Pracę nad tym projektem zaczęłam trzy lata temu, gdy wojna w Syrii trwała zaledwie rok, i jeszcze mieliśmy nadzieję, że niebawem się skończy. Z pomocą wielu osób (chciałabym podziękować szczególnie: Bente, Hibie, Haidowi, Mounie, Layli, Markowi, Nawel, Khaledowi, Haniemu i Małgorzacie, oraz wszystkim tym, których portrety i historie tworzą Exilium) kontynuowałam prace podróżując po Libanie, rozmawiając z ludźmi i starając się zrozumieć ich doświadczenia. Doświadczenia ludzi, którzy musieli opuścić swoje domy i kraj. Własne miejsce na ziemi. Tych historii jest jeszcze więcej i chciałabym móc opowiedzieć je wszystkie. Bo każda z tych opowieści jest jak jedno spotkanie z przyjacielem, daje nam możliwość zbliżenia się do drugiego człowieka. Historie milionów osób z różnych regionów Syrii, w różnym wieku, w różnej sytuacji. Niestety, nie jest możliwe opowiedzieć je wszystkie. Starłam się więc przekazać ten ułamek opowieści, której wiele osób nie chce słuchać. Wydaje mi się, że w Polsce wielu ludzi boi się tych historii. Tak, często są one przerażające i niełatwo się im przyglądać z bliska. Jednak, moim zdaniem, tylko nasza umiejętność słuchania, może uratować nas przed zalewem często mylnych, populistycznych lub wręcz fałszywych stwierdzeń na temat uchodźców.

Oczywiście, nie jestem tylko obiektywną narratorką, to ja zadawałam pytania, edytowałam wywiady, stworzyłam portrety fotograficzne. Mam nadzieję jednak, że udało mi się przekazać choć część tego, co chcieli powiedzieć moi bohaterowie.

Ucieczka, wygnanie prawie nigdy nie jest jednorazowym aktem przemieszczania się. To gehenna, która może rozciągnąć się na lata. Jej krętych dróg czasami nie daje się zapisać na mapie.

„Nigdy nie sądziłem, że zwykła rzecz jak wypalona zapalka, kawałek papieru w błocie, opadły liść czy zardzewiały bezwartościowy gwóźdź mogą posiadać duszę.” B. Traven, The Death Ship

Każdego z bohaterów i bohaterek projektu pytałam o przedmiot, który zabrali ze sobą z Syrii, i trasę ich podróży. W trakcie tworzenia projektu spotykałam coraz więcej osób, które nie mogły zabrać ze sobą niczego. Inni przywieźli ból, rany i cierpienie. Niektórzy zachowali jedynie wspomnienia. Nie mieli czasu ani przestrzeni, by myśleć o posiadanych dobrach. Często zdolali jedynie chwycić swoje dzieci i uciec tak, jak stali. Przedmioty stały się symbolami, wskazującymi na sprawy dużo istotniejsze. Moja perspektywa i perspektywa projektu uległy zmianie. Przedmioty symbolizują wszystko to, co zostało stracone, i zarazem same opowiadają swoje historie.

Pytanie o przedmiot zabrany ze sobą z kraju rodzinnego, coś ważnego dla tych ludzi, okazało się dobrym sposobem na opowiadanie historii milionów uchodźców na świecie uwzględniającym ich jednostkowość i indywidualne doświadczenie. Opuścili domy z powodu wojny, zniszczeń, strachu i biedy. Nikt nie robi tego dobrowolnie.

Nie będę przytaczać danych, liczb, przerażających statystyk. Na pewno nie raz je słyszeliście. Te liczby są ogromne. Jednak tworząc Exilium nie chciałam uprzedmiotawiać bohaterów zamykając ich życia w tabelach danych, stosach dokumentów, milionach raportów.

Jako istoty ludzkie, jak powiedziałby Jean-Paul Sartre, mamy skłonność do uprzedmiotawiania innych. Musimy częściej zdawać sobie sprawę z tego, że sam akt opowiadania o innej osobie może stać się krzywdzący i uprzedmiotawiający. Struktury języków i gramatyk same w sobie to ułatwiają. Jednakże obiekt naszej opowieści, przedmiot naszego uczucia i zainteresowania, może wymknąć się zesztyniałym strukturom i zacząć znaczyć coś innego. Jak może do tego dojść? Co możemy zrobić, by tak się stało? Czy zatraciliśmy już całkiem kontakt z naszymi sercami i przestaliśmy rozumieć innych ludzi?

„Co zatem mamy czynić?” pytał tragiczny bohater filmu Petera Weira „Rok niebezpiecznego życia” w przededniu indonezyjskiego przewrotu w latach sześćdziesiątych. To pytanie pozostaje otwarte. Streszcza się w nim smutek, rozpacz, poczucie bezsilności, ale zarazem potrzeba działania, zmiany perspektywy, przepracowania własnych uprzedzeń. Może to nie będzie wielki gest czy znaczący krok. To próba znalezienia innych sposobów na reagowanie na cierpienia innych ludzi, a przede wszystkim na sprzeciw wobec tego cierpienia. Próba, by zamiast mówić o innych, zwrócić uwagę na nas samych i spojrzeć na własną pozycję i przywileje. Mogę spróbować przenieść perspektywę z uchodźców na mnie samą, tak by znaleźć się w środku tej sytuacji a nie na zewnątrz. Stać się kimś więcej niż obserwatorem. Czy w ten sposób można odwrócić skostniałą narrację? Czy i w jaki sposób możemy rozpoznać siebie w tych historiach i doświadczeniach?

„Paradoks, na który chcę wskazać, polega na tym, że przedmioty te, które z zasady zawsze posiadają funkcję, użyteczność, cel, uważamy za czyste narzędzia, podczas gdy w rzeczywistości mają one inne przymioty, są czymś innym: funkcjonują jako wehikuly znaczenia... Znaczenie zawsze zalewa użyteczność przedmiotu... nie ma przedmiotu, który umknąłby znaczeniu.” Roland Barthes, The Semiotic Challenge

Mam nadzieję, że przedmioty zabrane z Syrii przez bohaterów projektu, które stały się wehikulem opowiadanych przez nich historii, staną się również impulsem do zmiany naszego nastawienia wobec nich, pierwszym krokiem ku zrozumieniu ich sytuacji. To, w jaki sposób często patrzymy na uchodźców, co pokazywane jest w mediach, jak krzywdzące są dyskursy, które dominują, jest problemem i powinniśmy się z nim zmierzyć. Spróbować odnieść się do tych wszystkich osób, miejsc i dróg wygnania, o których opowiada projekt Exilium. Spojrzeć na siebie.

„Jesteśmy tutaj.” Gdzie ty jesteś?

Marta Bogdańska

Ruba, 4 lata

Pochodzimy z miasta Idlib. Do Libanu wyprowadziliśmy się około 13 miesięcy temu, latem 2014 roku.

To jest moja córka Ruba. Gdy opuszczaliśmy dom nie chciała wyjść bez zabrania ulubionej czerwonej kurtki, mimo że było wtedy lato i było bardzo gorąco. Nie chciała iść bez niej, bo to prezent od ojca. Kupił jej tę kurtkę tutaj, w Libanie. Przywiózł jedną dla niej a drugą dla jej brata. Ale mój syn nie zważał na to, czy zabierze kurtkę ze sobą. Ruba płakała tak długo aż mogła zabrać kurtkę.

W trakcie opuszczania Syrii najpierw zawiozłam moich sześciorgo dzieci do Damaszku. Następnie przez przejście graniczne Masnaa ruszyliśmy do Libanu, gdzie mój mąż czekał na nas. Pracował tutaj jeszcze zanim to wszystko się zaczęło. Gdy w Idlib nasiliły się bombardowania postanowiliśmy dla bezpieczeństwa przedostać się do doliny Bakaa. Do tej pory mieszkaliśmy tu legalnie, ale nasze pozwolenie na pobyt wygasa za dwa miesiące. Funkcjonariusze służb bezpieczeństwa byli tu wraz ... z wojskiem i zabrali wszystkich mężczyzn, których dokumenty nie były w porządku. Trzymali ich dwa czy trzy dni po czym wypuścili. Jednakowoż kazali im uregulować swoją sytuację. Nie jest to proste. Nie wiem, co się z nami stanie...



Hussein, 16 lat

Pochodzę z Dary (Daraa). Przybyłem do Libanu trzy i pół roku temu. Bombardowania wzmogły się w moim mieście i coraz więcej ludzi ginęło. Przyjechaliśmy do Libanu na chwilę, planując powrót, ale ojciec zdecydował w pewnej chwili, że jednak zostaniemy. W domu, w Darze, brat nauczył mnie hodować i trenować gołębie. Instruował mnie, jak je łapać, jak na nie gwizdać, by przylatywały z powrotem na nasz dach. Mój brat jest teraz w Szwecji. Wyjechał najpierw do Turcji, a stamtąd przedostał się do Szwecji. Pamiętam, jak zamykaliśmy gołębie w klatkach na noc, a w ciągu dnia pozwalaliśmy im swobodnie latać. Hodowaliśmy je na dachu. Karmiliśmy, trzymając je w dłoniach. Tęsknię za nimi... Zostały w Syrii. Pamiętam o nich i żałuję, że nie mogłem ich zabrać ze sobą. To coś, co zostawiłem w Syrii.

W Bejrucie, w obozie Sabra i Chatila, zacząłem uczyć się pisać teksty raperskie. Pokochałem to i zacząłem pisać o Syrii i o wojnie. Im więcej piszę, tym bardziej tęsknię za moim krajem.

*Siedziałem wygodnie, nic nie męczyło mnie.
Kochałem ludzi, a ludzie kochali mnie.
Nikogo nie nienawidziłem i nikt nie nienawidził mnie.
Aż nagle głowa od myślenia zaczęła boleć mnie:
Ujrzałem moją głowę niczym miasto pełne morderstw i zniszczenia,
Nienawiść i zemsta w mojej wyobraźni osiąga temperaturę wrzenia...
Poszedłem więc po pigułkę przeciwbólową,
Marząc, że ból odfrunie niczym ptak.
Poczułem, jak całe ciało rozluźnia się i nie ma już ochoty na ruch,
Bo wszystkie wojny z mojej głowy zniknęły tak.
Poczułem ulgę i cały ból zniknął jak duch.
Kilka sekund później woda, którą popiłem leki, brzuch mi wyduła
Niczym benzyna, która pali na popiół biednych ludzi.
Jak można palić ludzi w imię religii...*





Ali, 70 lat

Urodziłem się w mieście As-Saura w prowincji Ar-Rakka. Do Libanu wyemigrowałem z rodziną dwa lata temu. Kiedy bomby zaczęły spadać na nasze miasto, nieustannie bałem się o swoje dzieci. Zebraliśmy nasze rzeczy i najpierw udaliśmy się do Damaszku. Stamtąd ruszyliśmy dalej, by w Masnaa przekroczyć legalnie granicę – mieliśmy kompletne i ważne dokumenty. Jednak odkąd wprowadzono w Libanie nowe prawo regulujące poruszanie się syryjskich uchodźców, bardzo rzadko opuszczamy obóz, obawiając się aresztowania. Przedłużenie wiz stało się prawie niemożliwe.

Nie przywiozłem prawie nic poza radiem, które mam od trzydziestu pięciu lat. Jest starsze od mojego najstarszego syna. Kupiłem je od człowieka, który nie znał jego prawdziwej wartości. Jest ono drogie memu sercu i nie pozwalam nikomu go dotykać. Trzymam je poza zasięgiem innych, tak żeby nikt go nie upuścił czy nie zepsuł. A jeśli moja córka by je upuściła? Co miałbym jej wtedy powiedzieć? Nikt nie zdaje sobie sprawy, jak ważne jest dla mnie to radio. Zresztą to nie ich interes. Kiedy wyjeżdżam, zamykam je w szafie, żeby nikt nie mógł go dotknąć. To radio jest jak część mojego ciała. Przez nie słucham wiadomości z całego świata. Działa, odkąd je mam. Jeśli coś zaczyna szwankować, sam to naprawiam. Nigdy nie oddawałem go nikomu do naprawy. Znam wszystkie, najdrobniejsze nawet części składowe tego radia, każdy sygnał i każde światélko LED. To japoński produkt najlepszej jakości. Trzeba mieć dla niego specjalne

zrozumienie, by wiedzieć, jak funkcjonuje. Części zamiennych już się nie produkuje. W domu, w Rakce, miałem całą kolekcję kaset z muzyką. Wszystkie odtwarzałem w tym radiu. Nie wziąłem jednak żadnej kasy ze sobą. Teraz więc mogę słuchać jedynie stacji radiowych i wiadomości. W ten sposób dowiaduję się o wszystkim, co dzieje się na świecie, bez ruszania się z miejsca o cal. Znam częstotliwości wszystkich stacji i dokładne godziny nadawania wiadomości. Radio odbiera trzy stacje i wiem, czego mogę słuchać i w jakim czasie. Jest Monte Carlo, które nadaje wiadomości o konkretnej godzinie, Radio Londyn o innej, a Radio Syria ma jeszcze inną ramówkę. Słuchanie wiadomości to jak bycie zagubionym na morzu – za każdym razem fala zabiera nas w inną stronę... Za każdym razem, gdy nastawiam kolejną falę stacji radiowej, przenoszę się jakby gdzieś w inne miejsce, podczas gdy w rzeczywistości siedzę w kącie...

W Syrii pracowałem jako kierowca. Teraz nie mam pracy. Trudno utrzymać dziewiątkę dzieci – z których jedno jest dzieckiem specjalnej troski – gdy nie ma się w kieszeni wystarczająco pieniędzy, by zapłacić za taksówkę do lekarza, nie wspominając nawet o zapłacie za wizytę lekarską!





Fadia, 38 lat

Do Libanu dotarłam około półtora roku temu, w kwietniu 2014 roku. Już przedtem musiałam opuścić moje rodzinne miasto Al-Kusajr, po tym jak zostało zbombardowane. Wyjechałam wtedy do Damaszku. Pozostałam tam przez jakiś czas, ale wszystko znowu się powtórzyło: śmierć, bombardowania i zniszczenie. Postanowiłam opuścić stolicę. Znalazłam przemytnika i z grupą ludzi wyruszyliśmy samochodem, wspólnie ponosząc opłaty za przemyt, których od nas żądano. Dotarliśmy do Aarsal w Libanie. Stamtąd udałam się do Halby, gdzie przebywałam około czterech miesięcy.

Ledwo udawało mi się opłacać czynsz, ale szczęśliwie spotkałam kobietę, która opowiedziała mi o wspólnym mieszkaniu w mieście Kouchy. Pomogła mi w otrzymaniu zgody na przeniesienie się tutaj. Odtąd mieszkam w Kouchy.

Pewnego dnia, będąc jeszcze w Damaszku, wróciłam do Al-Kusajr, żeby zobaczyć swój dom. Łzy stanęły mi w oczach. Cała dzielnica została zniszczona, ani jeden budynek nie pozostał w stanie sprzed konfliktu. Wreszcie udało mi się odnaleźć i rozpoznać mój dom. Marzyłam, by móc zabrać jak najwięcej rzeczy drogich memu sercu, ale niestety nie mogłam. W końcu zebrałam kilka zdjęć, które kochał mój syn, i wzięłam książkę, którą dostałam w prezencie od córki, mimo że była podarta i brudna. Mam ją do dzisiaj.

Kiedy staram się przypomnieć sobie, co mieliśmy w domu w Syrii, widzę sam dom, samochód, meble, jakieś ubrania... Jednakże te rzeczy nie mają dla mnie wielkiego znaczenia. Można przecież zastąpić je nowymi. To co utraciliśmy naprawdę to wspomnienia z naszych domów i z Syrii. Niezmierznie żałuję, że utraciłam moją domową bibliotekę. Uwielbiam czytać i posiadałam niezliczoną ilość książek, a wśród nich kilka, które były prezentami od przyjaciół. Tylko rzeczy, które mają wartość sentymentalną, są dla mnie ważne.

Po przybyciu do Libanu odczuwałam strach i byłam bardzo wyczerpana. Przestałam spotykać się z ludźmi i wycofałam się z życia. Czułam się tak, jakby ktoś mnie torturował. Dzisiaj jednak, zwłaszcza po przeprowadzce do Kouchy, czuję się lepiej i dzień po dniu nabieram coraz więcej sił. Z pomocą ludzi tutaj zaczynam dochodzić do siebie i stawać na własnych nogach, odzyskiwać pewność siebie i zaufanie do ludzi wokół.

Jestem teraz w lepszym stanie niż wcześniej. Oczywiście tęsknię za domem, a wspomnienia z niego są wciąż ze mną – to coś, czego nigdy nie zapomnę. Ale życie musi trwać dalej. Wierzę, że tak jak w przeszłości będzie trwało dalej w przyszłości. Czy zatem mamy pozwolić, by nasze przyszłe życie było pełne bólu, żałoby i rozpacz? Nie! Człowiek powinien być zawsze gotowy na nowe wyzwania, na to, by zatrzymać się na chwilę i móc ułożyć swoje życie zupełnie od nowa.



Ahmad Mahmoud, 65 lat

Przebywam w Libanie około półtora roku. Pochodzę z miejscowości Al-Burhanija.

Stałem przed domem, kiedy w odległości piętnastu metrów – tuż obok mnie – wybuchła bomba. Dostałem odłamkiem w brzuch. Moi trzej chłopcy nadbiegli z pomocą, niech Bóg ma w opiece ich dusze. Zanieśli mnie do samochodu i zawieźli do szpitala w Al-Kusajr. Przeszedłem operację, po czym powróciłem do domu. Byłem przykuty do łóżka, dopóki moje rany nie zaczęły się goić. Coraz więcej pocisków spadało na nasze miasto, co zmusiło nas do wyprowadzki do Al-Kusajr. Stamtąd przenieśliśmy się do Kary (Qara). Ostatecznie zdecydowałem się wyjechać samochodem do Aarsal w Libanie.

Moja szwagierka sprowadziła mnie i opłaciła koszty podróży. Po dotarciu do Libanu spędziłem dwie noce u niej w Aarsal. Potem taksówką pojechałem do Zahle. Moja córka już tu była. Mieszkała w Libanie od półtora roku. Podobnie moja żona. Nie mamy żadnych dokumentów tożsamości. Nic. Nie udało nam się przywieźć z Syrii niczego. A teraz wszystko, co mi pozostało z mojej ojczyzny, to te blizny na brzuchu. Nic więcej nie mam...

Moi chłopcy zostali w Syrii, kiedy ja uciekałem. Nie mogli wyjechać. Bomby nadal spadały i jedna z nich trafiła w moje dzieci. Straciłem tych trzech najdroższych mi młodych mężczyzn. Ostatni raz widziałem ich, gdy sam byłem pomiędzy

życiem a śmiercią. Dowiedziałem się o ich śmierci pewnego dnia w Libanie. Dowiedziałem się, że moich trzech synów zginęło... Na wieść o ich śmierci moja żona dostała udaru mózgu i umarła niedługo potem. Spędziła w szpitalu dwa dni i zmarła. Nie chciano wydać mi jej ciała, dopóki nie zapłacę. Szpital żądał około szesnastu milionów funtów libańskich! Moja żona nie żyła, a oni nie chcieli oddać jej ciała rodzinie. Gdyby nie pomogli mi ludzie, jej ciało nadal leżałoby w kostnicy tego szpitala. Dziękuję Bogu za tych ludzi, którzy mi wtedy pomogli.

Młodzi ludzie nie mogą przedostać się przez granicę bez dokumentów. Ja też nie miałem swoich. Gdy dotarłem do punktu kontrolnego pilnowanego przez trzech żołnierzy, kazano mi wysiąść z samochodu. Ludzie, którzy mieli ważne dokumenty, mogli zostać w samochodzie. Reszcie kazano iść do oficera. Wszedłem razem z jakąś rodziną. Oficer zapytał, czemu nie mam dokumentów. Powiedziałem mu, że uciekłem w czasie nocnego bombardowania i nie zdołałem wziąć niczego ze sobą. On na to: „Co będzie, jeśli puszcze cię teraz bez dokumentów, a trafisz na kolejny posterunek kontrolny? Ja będę za to odpowiedzialny”. Poprosiłem go, żeby mnie puścił i się tym nie martwił. Z Bożą pomocą udało mi się i dotarłem tu, nie posiadając żadnych dokumentów. Bóg tylko wie, czy moi synowie mieliby tyle samo szczęścia co ja, gdyby wyruszyli wówczas ze mną. To niemożliwe, żeby trzej młodzi mężczyźni zostali przepuszczeni! Nawet dla mnie byłoby to niemożliwe, gdybym nie wyglądał tak staro.





Islam, 24 lata

Przybyliśmy do Libanu w 2011 roku. Pierwotnym celem była czterodniowa wizyta u rodziny ciotki. Nie wiedzieliśmy, że te dni zamienią się w całe lata. Jestem Palestynką i mieszkałam z rodziną w obozie w Darze (Daraa). Krótko po przyjeździe w odwiedziny do Libanu znajomi zadzwonili do nas z Dary, by powiedzieć, że sytuacja tam bardzo się pogorszyła. Poradzili ojcu, żebyśmy nie wracali. I tak też się stało... Zostaliśmy.

Nie przywieźliśmy wiele ze sobą, bo nie planowaliśmy tu zostać. Zabrałam ze sobą stary pięciofuntowy banknot syryjski. Mam go od dziewiątej klasy. Poprosiłam wtedy wszystkich przyjaciół ze szkoły, żeby coś na nim napisali na pamiątkę. Chciałam ich dzięki temu zapamiętać na zawsze. Od tego czasu zawsze trzymam ten banknot w portfelu.

Z dwójką przyjaciół nadal utrzymuję kontakt, gdy tylko mam okazję. Oni zostali w Darze i problemy z połączeniem i systemami komunikacji często są przeszkodą w naszych kontaktach.

Przed przybyciem do Libanu spędziliśmy najpierw trochę czasu u dziadków w Damaszku. Następnie udaliśmy się do Aramoun i mieszkaliśmy w domu ciotki przez dwa miesiące. Potem przenieśliśmy się do obozu Chatila w Bejrucie, gdzie mój ojciec wynajął dom. Jednakże sytuacja w Chatili jest bardzo zła. Są tam małe i bardzo wąskie uliczki, nie ma

dostępu do lekarzy. Woda jest słona... niedobra... Również życie i środowisko, do jakiego nie byliśmy przyzwyczajeni.

Po sześciu miesiącach przenieśliśmy się do obozu Burż el-Baraźne (Bourj el-Barajneh). Jeszcze w czasie pobytu w Chatili natknęłam się na organizację Najda Now i zaczęłam z nimi pracować. Teraz uczę tam dzieci. Przed przybyciem do Libanu studiowałam na wydziale ekonomii i handlu, ale przez wyjazd nie dokończyłam studiów. Jest mi bardzo smutno z tego powodu. Praca z dziećmi daje mi trochę pocieszenia. Tak bardzo pragnęłabym wrócić do Syrii i kontynuować studia.

Chciałabym, by ludzie mieli więcej zrozumienia. Szczególnie teraz, gdy jesteśmy w Libanie, mogliby zalegalizować nasz pobyt. Ostatecznie jesteśmy tu tylko gośćmi, a ten kraj jest mały. Nie mamy wielu możliwości. To nie nasza wina, że musieliśmy uciekać od wojny i śmierci, rozlewu krwi i morderstw. Nie prosimy o wiele. Tylko o dokumenty, które pozwoliłyby Palestyńczykom i Syryjczykom wjeżdżać do Libanu, by odwiedzać rodziny. Marzę też, byśmy mogli odwiedzać naszych krewnych w Syrii.





Khalil, 24 lata



Jestem w Libanie prawie cztery lata. Nie miałem problemów z wjazdem do Libanu, ponieważ byłem tu studentem. Użyłem mojej karty studenta i wjechałem legalnie. Podróżowałem z Tel Kelekh do Halaat, a potem przez Mashairfe do regionu Akkar. W końcu dotarłem do Trypolisu. Ostatecznie przeniosłem się do Libanu w momencie, gdy wydawało się, że armia rządowa zniszczy moją rodzinną wieś Tel Kelekh niedaleko Halaat i zostaną aresztowani. Było to w lutym 2012 roku.

Zdjęcie, które wziąłem ze sobą, przedstawia mojego kuzyna. Próbował on przedostać się do Libanu kilka dni po mnie i utonął w rzece na granicy. Był moim przyjacielem od dzieciństwa. Zdjęcie to zrobił 12 lat temu do pierwszego paszportu, który wyrabiał, by pojechać do Kuwejtu. To było zdjęcie paszportowe. Dał mi je wtedy, a ja je zatrzymałem. Miałem zwyczaj nosić je zawsze w portfelu razem z moim dowodem tożsamości i *carte de visite*. Wydaje mi się, że mój kuzyn był w piątej klasie, gdy zrobił to zdjęcie. Miał jakieś jedenaście lub dwanaście lat. Postanowił opuścić Syrię, bo nie miał już siły znosić kolejne bombardowania. Bardzo się denerwował, ponieważ miał libańskie obywatelstwo. Śmiertelnie się bał, że z powodu napięć zostanie aresztowany i uznany za salafickiego terrorystę walczącego po stronie Wolnej Armii Syryjskiej lub „terrorystów”. Z tego powodu postanowił nie przekraczać granicy legalnie. Wybrał drogę przemytników prowadzącą przez rzekę. Tamtej

nocy padał silny deszcz. Kiedy mój kuzyn był już prawie na drugim brzegu rzeki, zaskoczyła go i porwała ze sobą nagła fala. Próbowaliśmy mu pomóc, ale uniemożliwiła to trudna pogoda. Później znaleźliśmy jego martwe ciało w dole rzeki. Dla mnie to była tragiczna strata. On umarł tylko dlatego, że bał się aresztowania przez zbiry reżimu.

Nie sądzę, bym mógł wrócić do Syrii, dopóki nie upadnie ten rząd. Wówczas moglibyśmy wrócić z godnością. Na punktach kontrolnych żołnierze często mnie poniżali, ponieważ mój ojciec był aresztowany. Zawsze posądzano mnie, że przemycam informacje w laptopie. Przeszukiwano moje książki i komputer, a nawet zanoszono do oficera na powtórne przeszukanie. I tak na każdym posterunku pomiędzy moim domem a granicą. Czasami, by uniknąć takiego traktowania, nie woziłem niczego ze sobą. Komórkę zostawiałem u kuzyna ze zdjęciami, ponieważ miał libańskie obywatelstwo i nie przechodził przez to samo.

Myślę, że mój powrót do Syrii teraz byłby ryzykowny. Wszyscy mężczyźni z mojej rodziny są poszukiwani przez reżim. Co najmniej sześciu z nich było już wcześniej aresztowanych, nawet przed rewolucją. Mój ojciec też. Jestem poszukiwany, bo podlegam poborowi do służby wojskowej, ale oczywiście nie chcę służyć w tej armii. Armia uważa, że moja wioska pomaga „terrorystom”. Wielu moich przyjaciół zostało zabitych przez żołnierzy, a ich rodzinom do dziś nie zwrócono ciał. Nie mogę teraz wrócić. Poza tym robię więcej, będąc tutaj, niż byłoby możliwe, gdybym był w Syrii. Sytuacja jest bardzo trudna i żyłbym w oblężeniu. Miałbym związane ręce.



Halima, 45 lat

Przebywam w Libanie od siedemnastu miesięcy. Pochodzę z prowincji Rakka (Ar-Rakka). Przyjechałam do Libanu przez oficjalne przejście graniczne Masnaa z mężem, dwoma synami i córeczką. Mam też dwie inne dziewczynki. Pochodzimy ze wsi. Kiedy byłam mała, sąsiadka zrobiła mi na twarzy tradycyjny tatuaż. To było bolesne. Robi się go igłą. Nie wiem, co on oznacza. To po prostu tradycyjny element dekoracyjny. Moja córka nie ma takiego tatuażu. Mąż pyta, po co miałyby mieć? Żyjemy przecież w XXI wieku!

Różaniec jest ze mną od sześciu lat. Noszę go na szyi. Używam go podczas modlitwy. Miałam go na sobie, gdy opuszczaliśmy dom. Gdybym nie miała go na szyi, pewnie bym zapomniała wziąć go ze sobą. Zdejmuję różaniec, gdy idę pod prysznic, a potem zakładam z powrotem. Wyjechaliśmy tak, jak staliśmy, w ubraniach i z rzeczami, które mieliśmy na sobie. Co innego moglibyśmy przywieźć?

Nie będę ci kłamać. Wyjechaliśmy, jak tylko nadarzyła się okazja, mimo że bomby nie zagrażały bezpośrednio naszemu domowi. Wokół nas sytuacja nie wyglądała dobrze. Nadal nie wygląda, więc nie myślimy o powrocie. Jednakże Syria jest nam droga. Przyjechaliśmy bezpośrednio autobusem z Rakki. Jechaliśmy w nocy, więc nie wiem, które miasta mijaliśmy po drodze. Mąż mówi, że minęliśmy Palmirę, Damaszek i Masnaa.

Nie mam nikogo poza mężem i tymi maluchami. Nie mamy starszych dzieci. Nie posiadamy nic: ani ziemi, ani farmy, ani upraw. Jak możemy przetrwać? Nikt z nas nie może pracować. Ten stary człowiek obok, mój mąż, nie może pracować. Ma wrzody i nie może za dużo robić. Po prostu siedzi w domu. Otrzymujemy jedzenie i pomoc z ONZ-et. Mój najstarszy syn nie pracuje, jest jeszcze dzieckiem. Wszyscy nasi krewni są w tym obozie. Cóż mamy zrobić? W Libanie czujemy się dość normalnie, ale tęsknimy za domem.





Juma, 33 lata

Opuściłem Damaszek 15 października 2011 roku. Wziąłem taksówkę i przejechałem główną drogą do Bejrutu. Nie miałem problemu z przekroczeniem granicy. Obawiałem się, że coś się wydarzy, ale wszystko było w porządku. A jednak stało się coś niespodziewanego. Przed wyjazdem miałem dziwne przeczucie. Pomiędzy Syrią a Libanem znajduje się taki fragment ziemi – nie należy do nikogo. Kiedy przekraczałem granicę, przejechałem najpierw posterunek po stronie syryjskiej i wjechałem na tę „ziemię niczyją”. Gdy tam dotarłem, przez chwilę mogłem odetchnąć, bo wcześniej byłem zestresowany. Nagle, pośrodku tej ziemi niczyjej, zobaczyłem syryjskich żołnierzy z karabinami. Napięcie wróciło.

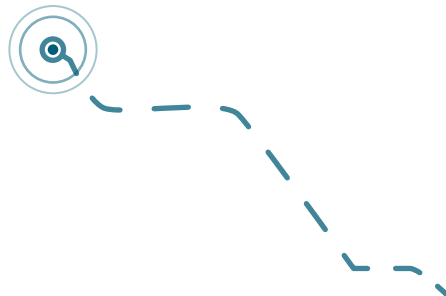
Miałem wiele rzeczy w Damaszku. Zostawiłem je tam. Przywiozłem tylko to, co najważniejsze: ubrania. Ich naprawdę się potrzebuje. Udało mi się też wziąć ze sobą jeszcze coś ważnego: obrus. W języku kurdyjskim nazywa się on *tantal*. Dostałem go od mojej starszej siostry. Sama go zrobiła. Bardzo go lubię. *Tantal* jest bardzo kolorowy i bije z niego taka jasność. Tradycyjnie wyrabia się go w północnej Syrii, w regionie, z którego pochodzę. To znaczy w regionie kurdyjskim. Chciałem go mieć ze sobą. Z reguły nie przepadam za kolorami, ale *tantal* jest dla mnie częścią pamięci. Potrzebuję jej codziennie. Moja rodzina jest wciąż tam... w Syrii.

Kiedy tu przyjechałem, zostawiłem swoje wspomnienia i archiwa. Dałem je na przechowanie przyjacielowi, nie powinny

zagań. Jest tam wiele kaset wideo, bardzo dla mnie ważnych. Reżim uznałby je za nielegalne. Dla mnie pozostanie w Syrii byłoby „samobójcze” – równałoby się popełnieniu samobójstwa. Nie chodzi mi o niebezpieczeństwo. Jeśli ktoś pozostaje w Syrii, stoi przed wyborem: prędkiej czy później albo kogoś zabije, albo sam zostanie zabity. Pracowałem nad kilkoma projektami filmów dokumentalnych, ale w połowie marca 2011 roku, kiedy to wszystko się zaczęło, projekty zostały wstrzymane. Przez siedem miesięcy nic nie robiłem, tylko siedziałem w domu. Było to bardzo negatywne przeżycie.

Przez chwilę odczuwałem euforię, kiedy to wszystko się zaczynało, ale wkrótce okazało się, że moi przyjaciele siedzą w więzieniach, ludzie giną, a wiadomości stają się straszne... To było trudne. Nie mogłem odnaleźć się już w Damaszku, mieście, które tak bardzo lubiłem.

Wszyscy wiemy, że władza zostanie zmieniona, ale wiem też, że nie będzie to proste. Wielu ludzi zapłaci za to życiem, przeleje się wiele krwi...







Fouad, 24 lata

Uciekłem z Syrii do Libanu z matką i trzema siostrami. Było to około dwóch lat temu, we wrześniu 2013 roku. Pochodzimy z Al-Kusajr w prowincji Homs. Tam straciliśmy ojca, który pewnego dnia wyszedł odebrać pensję i już nigdy nie wrócił. Rozpytywaliśmy o niego i szukaliśmy go wszędzie, ale nie udało nam się nic ustalić. Nadal nie wiemy, co się z nim stało: może zginął, a może mieszka w jakiejś piwnicy, Bóg jeden wie.

Przed wyjazdem z Al-Kusajr żyliśmy prawie rok pod ziemią, w piwnicy. Na powierzchni trwały walki. Moja siostra Batoul nabawiła się choroby skóry, na którą nie możemy znaleźć lekarstwa. To się zaczęło, gdy mieszkaliśmy w tej piwnicy. Nasze niekończące się przerażenia i doświadczenia wojny pozostawiły ślad na twarzy Batoul i odbiły się w jej oczach. Trwaliśmy pod ziemią bez prądu i prawie bez jedzenia. Kiedy nie było już świeczek, zaczęliśmy palić ropą, co spowodowało wydzielanie się dławiących oparów. Byliśmy tak zdesperowani, że używaliśmy wszystkiego, co wpadło nam w ręce. W końcu armia rządowa postanowiła wdrzeć się do dzielnicy, w której przebywaliśmy. Gdyby im się udało, cywile znaleźliby się w potrzasku. To oznaczałoby nasz koniec: zostalibyśmy po prostu zarżnięci.

Mój kłopot polega na tym, że jestem jedynym mężczyzną w rodzinie. Mam siedem sióstr. Cztery z nich są zamężne i mieszkają z rodzinami w Libanie. Pozostałe trzy oraz moja matka są ze mną. W Syrii uczyłem się w Instytucie, ale woj-

na uniemożliwiła mi ukończenie studiów. Wcześniej to ojciec utrzymywał rodzinę, ale zaginął. Urodziłem się z „dziurą w sercu”, i nie mogę pracować fizycznie. W Homs zostałem ranny podczas jednego z ataków armii na miasto. Byłem właśnie w drodze, by załatwić dla nas samochód, który miał zabrać nas do Libanu, gdy zdało mi się, że całe niebo wali się na mnie. Spadające bomby rosły w moich oczach, coraz większe i większe, uderzając tuż za mną. Odlamek jednej trafił mnie w głowę i złamał kość w czaszce. Kiedy dotkniesz mojej głowy, możesz poczuć to złamanie. Inny metalowy fragment zranił mnie w ramię.

Nasze życie przypomina opowieści o ludziach z jaskiń. Słyszałaś kiedykolwiek o czymś takim? Palenie drzewa w piwnicy, by podgrzać wodę! Na dodatek, pod koniec naszego ukrywania się pod ziemią, dystans między nami a siłami rządowymi zmalał do odległości między nami teraz a wyjazdem z Kouchy. Żołnierze zabijali każdego cywila, którego zauważyli. Uciekliśmy. Pierwsze trzy noce spędziliśmy w lesie z grupą opozycji, po czym dotarliśmy do „miasta marzeń”. Słyszałem o tym miejscu już wcześniej, ale nigdy tam nie byłem. Poczulem się tak, jakbyśmy przenieśli się z piekła prosto do nieba, tak ogromna była ta zmiana. Sklepy były pootwierane, po ulicach chodziły tłumy i życie toczyło się normalnym trybem. Rebelianci powiedzieli nam, że każdy, kto się zdecyduje, może pozostać w tym miejscu, i że jesteśmy tam bezpieczni. Ci, którzy chcą kontynuować dalej podróż przez Jabrud do Libanu, mogą ruszyć z rebeliantami. Powiedzieliśmy im, że chcemy opuścić Syrię. Nie znaliśmy

nikogo w „mieście marzeń”, nie mieliśmy tam żadnych krewnych. Moja siostra z mężem przebywała w obozie w Trypolisie. Ona była naszym ratunkiem. Spędziliśmy noc u pewnej rodziny. Tak naprawdę to spała u nich moja rodzina poza mną. W tamtym czasie moja głowa i ramię wciąż były w bandażach, a włosy i broda urosły mi bardzo długie. Wyglądałem jak jeden z opozycjonistów, musiałem więc spędzić noc na zewnątrz. Ktoś ulitował się nade mną i dał mi poduszkę. Następnego dnia wyruszyliśmy w drogę do Jabrud. Po tygodniu udało nam się wjechać do Arsal dużym, zatłoczonym samochodem, w którym ludzie siedzieli jedni na drugich. To było jak dzień sądu. Wreszcie dojechaliśmy i z pomocą krewnych w Arsal byłem w stanie zapłacić za dalszy transport do Trypolisu, gdzie czekał na nas mój szwagier. On zajął się całą resztą. Przez pierwszy rok mieszkaliśmy w obozie Maniara, a potem przenieśliśmy się do Kouchy.

Jesteśmy tu już około czternastu miesięcy i z pomocą ludzi znalazłem pracę, która nie wymaga wysiłku fizycznego. Nasza sytuacja się poprawiła. Tylko Batoul wciąż choruje – jej stan nie uległ zmianie. Dowiedzieliśmy się, że jedynym ratunkiem dla jej skóry jest zmiana klimatu, co oznacza wyjazd. Próbowałem nawiązać kontakt z ciotką, która wyjechała do Norwegii. Gdyby udało mi się z nią skontaktować, mogłaby od razu złożyć wniosek o „połączenie rodziny”, a my moglibyśmy wyleczyć Batoul. Najbardziej zależy mi teraz na jej zdrowiu, bo lekarze powiedzieli nam, że z wiekiem jej stan będzie się pogarszał i choroba będzie postępować... Czekamy zatem...



Haj Zaher Muhammad, 51 lat

Przybyliśmy do Libanu około dwóch i pół roku temu. Nie odwiedziliśmy Syrii ani razu w tym czasie. Ubrania, Koran i walizka z naszymi dokumentami to wszystko, co przywieźliśmy ze sobą z Syrii.

Pochodzę z okolic Rakki (Ar-Rakka). Jestem ojcem ośmiu córek. Trzy z nich są zamężne, pięć jest pannami. Jedna z moich córek została z mężem w Syrii. Pozostałe wyjechały ze mną.

Przywiozłem ze sobą Koran, bo czytamy jego fragmenty codziennie. Trzymam go w specjalnej walizce. Moje dziewczynki czytają Koran, a czasem ja im czytam. Nie potrafimy się bez niego obejść, stał się częścią naszej tożsamości. Wszystkie moje dzieci uczyły się w Syrii, ale tutaj nie chodzą do szkoły. Pozostają nam więc wieczorne spotkania na czytanie Koranu, a moje córki pomagają sobie nawzajem w nauce.

Opuściliśmy Syrię z powodu braku wszystkiego. Niczego nie można już było znaleźć ani dostać. Żadnego jedzenia, nawet chleba. Brakowało gazu i paliwa. Brakowało wszystkiego. Nie mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić potrzebne rzeczy. Wszystko zrobiło się bardzo drogie. Za drogie. Sytuacja była żalosna. Uciekaliśmy przed każdym, kto pojawił się na naszej drodze, niezależnie czy był z frontu Al-Nusra, z tzw. Państwa Islamskiego (ISIS) czy Wolnej Armii Syryjskiej. Wszystkie te ugrupowania były obecne

tam, skąd pochodzę, i wszystkie chciały cię dopaść. Musieliśmy więc uciekać. Przez pierwsze pięć miesięcy zatrzymaliśmy się u kogoś w namiocie w Tamnin. Trwało to, dopóki nie uregulowaliśmy kwestii dokumentów i nie kupiliśmy własnego namiotu.

Cztery z moich pięciu córek pracują jeden czy dwa dni w tygodniu, w zależności od pojawiającej się możliwości pracy. Piąta nie może, doznała porażenia po wypadku samochodowym w Syrii. Dziewczęta pracują, by zdobyć trochę chleba dla nas. Nasza sytuacja tutaj jest o tyle lepsza, że nie zamartwiamy się codziennie tym, czy zabije nas kula lub ktoś na ulicy, ale zmagamy się ze sprawami związanymi z odnawianiem pozwolenia na pobyt i dokumentów. Co sześć miesięcy musimy je odnowić. Kosztuje to dwieście dolarów amerykańskich od osoby. Musimy mieć też ważne dokumenty oraz tzw. sponsora – Libańczyka lub Libankę gotowych poświadczyć, że się nami zajmują. Nikt nie chce nas tu „sponsorować”. Ziemia, na której mieszkamy, kosztuje. Dajemy sobie jakoś radę. W domu w Syrii nie było już nic. Żadnej pracy. Po prostu... nic.





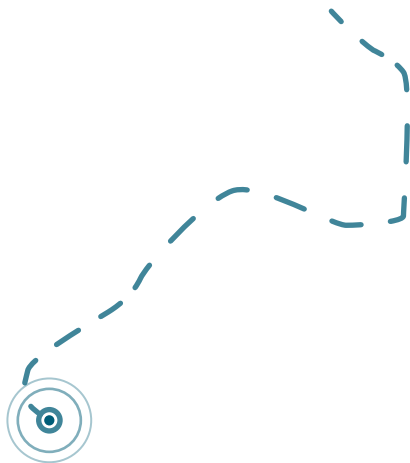
Ibtissam, 40 lat

Poza zdjęciem zaginionego syna nie zabrałam nic z Al-Kusajr. To wszystko, co mi zostało stamtąd...

Ślad po moim synu zaginął trzy i pół roku temu w Syrii. Miał wtedy szesnaście lat. Teraz ma dziewiętnaście. Nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości, odkąd widzieliśmy go po raz ostatni. Mojego męża także zatrzymano w tym samym czasie co syna. Był ze znajomymi nieopodal na polu, kiedy zabrali ich wszystkich naraz. Dowiedziałam się o tym i także o tym, że żądano jego dowodu tożsamości, by sprawdzić jego teczkę. Dałam im wszystko, czego chcieli, a oni nie oddali mi w zamian syna. Kiedy mój mąż wyszedł z aresztu, nie znalazł swego syna w domu. Próbował zdobyć informacje w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu i przekazał im wszystko, co wiedzieliśmy. Niestety, nigdzie nas to nie zaprowadziło.

Ja, Ahmad mój mąż, który ma czterdzieści siedem lat, drugi syn i córka, przybyliśmy do Libanu w maju 2013 roku. Pochodzimy z regionu Al-Kusajr w prowincji Homs. Uciekliśmy, gdy bombardowania się nasiliły. Udaliśmy się w stronę Hisji, a stamtąd przejechaliśmy dalej samochodem. Do Aarsal w Libanie przeszliśmy przez góry. Zajęło to trzy lub cztery godziny. Zapłaciliśmy za tę przeprawę. Mojego męża Ahmada nie było z nami. Przybył inną drogą w tym samym dniu co ja i moje dzieci. My pojechaliśmy przez Karę, podczas gdy on udał się przez Burajj. Jego podróż trwała sześć godzin.

Po przybyciu do Aarsal spędziliśmy tam pierwsze półtora roku. Gdy bombardowania się nasiliły, musieliśmy schować się na dziesięć dni w podziemnym schronie. W końcu ogłoszono zawieszenie broni i wyszliśmy na zewnątrz. Gdy tylko opuściliśmy schron i zobaczyliśmy słońce, powiedziano nam, że wszystkie namioty spłonęły i że możemy opuścić Aarsal teraz, w trakcie trwania zawieszenia broni. Bałam się o mojego drugiego syna, który ma szesnaście lat. Opuściliśmy więc Aarsal. Po tym jak nasz namiot został zniszczony, musieliśmy zatrzymać się u moich rodziców, aż udało nam się, z pomocą duchownego (szejka) zdobyć kolejny namiot w Al-Faour. Mieszkamy tu od tamtej pory. Minęło już sześć miesięcy...





EXILIUM

Projekt fotograficzny zrealizowany przez:

Autorka / Fotografka:

Marta Bogdańska / marta.j.bogdanska@gmail.com

Grafika / Layout:

Mouna Abu Assali

Tłumaczenie na polski:

Marta Bogdańska

Korekta:

Agnieszka Bresińska

Tłumaczenie z arabskiego na angielski / konsultacje językowe:

Layla Mouhallami

Fikser:

Marc El Mouzawak

Skład:

Studio 27

Projekt zrealizowany we współpracy z biurami Fundacji im. Heinricha Bölla w Bejrucie i Warszawie w 2015 roku.

Aktualności na stronach: www.lb.boell.org i www.pl.boell.org.



EXILIUM
Wskażcie nam drogę
gorzkiego wygnania

Projekt fotograficzny Marty Bogdańskiej

 HEINRICH
BÖLL
STIFTUNG



EXILIUM

Wskażcie nam drogę gorzkiego wygnania

Projekt fotograficzny
Marty Bogdańskiej

■■■ HEINRICH
BÖLL
STIFTUNG
MIDDLE EAST

■■■ HEINRICH
BÖLL
STIFTUNG